

Przemysław Piętaś: Ściana ze szkła

Gdy słyszymy, że po siedmiu latach sprawowania rządów w 38-milionowym kraju, premier Tusk musi iść na przyspieszony kurs angielskiego, w nas budzi to jedynie zażenowanie, bo wiemy, że bez dobrej znajomości języka Tusk nie zostałby w naszej korporacji nawet stażystą



Gdy słyszymy, że po siedmiu latach sprawowania rządów w 38-milionowym kraju, premier Tusk musi iść na przyspieszony kurs angielskiego, w nas budzi to jedynie zażenowanie, bo wiemy, że bez dobrej znajomości języka Tusk nie zostałby w naszej korporacji nawet stażystą

Prof. Marek A. Cichocki w opublikowanym na internetowych łamach „Teologii Politycznej” tekście pt. „Kategoria” trafnie diagnozuje stan umysłów wielu młodych ludzi w Polsce, szukając m.in. w nich jednej z przyczyn nadspodziewanego sukcesu Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich. *„Dzisiaj dla wielu młodych ludzi w Polsce apologia reaktywności i zachowania status quo za wszelką cenę jako najwyższego dobra najwyraźniej nie wystarcza”* – pisze prof. Cichocki. *„Mają większe aspiracje, a groźbę powrotu do władzy PiSu traktują jako niepoważny szantaż, który ma utrzymać ich w bezruchu. Znają świat, mają własne doświadczenia i wiedzą również, że jeśli dzisiaj nie będziemy budować w Polsce własnych mechanizmów rozwoju, ich przyszłość będzie niewesoła. Chcieliby mieć w Polsce swoje miejsce, móc realizować nie tylko bieżące materialne cele, ale sprawdzać nabytą wiedzę, zdolności i pomysły w poczuciu, że przyczyniają się w ten sposób także do jakiś ogólnych celów. Potrzebują poczucia przydatności i sensu. Chcieliby więc wiedzieć w jaką stronę zmierza ich kraj w świecie, w którym zakwestionowano wszystkie dotychczasowe pewniki i gdzie nikt nie może być bezpieczny. Jednak apologia reaktywności nie może dać im poczucia, że uczestniczą w jakimś wspólnym przedsięwzięciu, dzięki któremu ich przyszłość będzie lepsza. Praktycznie proponuje im ona tylko jedno: udział w wyścigu szczurów w kraju, którego konkurencyjność względem innych staje się coraz bardziej anachroniczna i peryferyjna. Apologia reaktywności kradnie im szanse na przyszłość, dlatego coraz częściej nie chcą jej przyjąć.”*

O ile z pierwszą częścią powyższego cytatu (niewystarczalność apologii reaktywności w rozumieniu „cieplej wody” w kraju przy jednoczesnej nieskuteczności straszenia PiS-em jaką alternatywą) mogą się w pełni zgodzić, o ile do drugiej, zgodnie z którą jedyną propozycją dla młodych jest „wyścig szczurów”, chciałbym dodać kilka zdań nie tyle

nawet polemiki, co uzupełnienia. Sądzę bowiem, że przynajmniej część „młodych, wykształconych z wielkich miast”, do których, jak sądzą, prof. Cichocki kieruje swoje słowa, uzna frazę o „wyścigu szczurów” za nieprzystającą już do ich aktualnego stanu umysłów. Owszem, kiedyś, na przełomie XX i XXI wieku, być może byliśmy biegnącymi za karierą i sukcesem szczurami w korporacyjnych klatkach. Ale dziś, w połowie drugiej dekady XXI w., nasza sytuacja – i nasz obraz samych siebie – zmienił się już drastycznie. Staliśmy się młodymi profesjonalistami, świadomie realizującymi w biznesie swoje osobiste cele, ambicje i aspiracje. Polityka nie interesuje nas nie dlatego, że politycy nie mają nam nic ciekawego do zaoferowania, ale dlatego, że już dawno przestaliśmy wierzyć, że cokolwiek wartościowego kiedykolwiek będą nam w stanie zaoferować. Mówiąc brutalnie – obecni politycy nam nie imponują, bo czujemy się od nich lepsi.

Gdy słyszymy, że po siedmiu latach sprawowania rządów w 38-milionowym kraju, premier Tusk musi iść na przyspieszony kurs angielskiego, w nas budzi to jedynie zażenowanie, bo wiemy, że bez dobrej znajomości języka Tusk nie zostałby w naszej korporacji nawet stażystą. Gdy prezydenci kandydaci przygotowują się do telewizyjnych debat, w których – umówmy się – nie wypadli jakoś szczególnie rewelacyjnie, my obserwujemy u nich te same gesty, których nas uczono kilkanaście lat temu. Gdy słuchamy kolejnych wodolejów powtarzających puste slogany z trybuny sejmowej, my odruchowo sięgamy po telewizyjny pilot, bo ten sam przekaz potrafilibyśmy przekazać w kilku prostych punktach. A gdy na dodatek dowiadujemy się, że zarobki prezydenta i premiera są w naszym kraju zbliżone do tych, na które w naszej rzeczywistości może liczyć średnio rozgarnięty kierownik średniego szczebla, my dochodzimy do wniosku, że do polskiej polityki idzie trzeci, czwarty garnitur, rekrutujący się wśród ludzi, którzy nigdzie poza polityką nie zrobiliby kariery. I dlatego

od polityków nie oczekujemy już niczego, poza jednym – niech nie przynoszą nam wstydu przed światem. Nisko postawiona poprzeczka, wiem. Ale poprzedni prezydent, ośmieszający się włożeniem w butach na krzesło w japońskim parlamencie i okrzykami „chodź, szogunie”, nie wypełnił nawet tego podstawowego kryterium. Dlatego musieliśmy go odwołać. Nie ze względu na nasz etos, patriotyzm i Smoleńsk. Ale tak, jak w naszych organizacjach pozbywamy się tych, którzy „nie dostarczają wartości dodanej”. Komorowski nie dostarczał. Duda na tym tle przynajmniej prezentuje się profesjonalnie.

„Apologia reaktywności” nie wystarcza nam również dlatego, że znaczną część swojego zawodowego życia spędzamy poza Polską. Widzimy, jak w europejskich miastach zorganizowany jest chociażby transport publiczny, i ze wstydem wracamy do Warszawy i jej żałosnych półtora linii metra. Ale to „co z czym porównujemy”, jest w moim przekonaniu również kolejnym powodem, dlatego w niedługim czasie Platforma Obywatelska, a wraz z nią cała formacja wywodząca się z dawnej „Solidarności”, musi odejść. A na ich miejsce musi wejść nowe pokolenie, pokolenie tych, którzy przestają wciąż porównywać to, co jest z tym, co było (bo w porównaniu do PRL współczesna Polska zawsze będzie krainą miodem i mlekiem płynącą), ale zaczną porównywać to, co jest u nas, z tym, co jest gdzie indziej. I dopiero z tego porównania – współczesnej Polski z innymi europejskimi krajami – zaczną wyciągać właściwe wnioski. Nie powtarzając wciąż slogany o tym, że nasze PKB procentowo rośnie szybciej niż w innych krajach, bo porównanie wyłącznie procentowej dynamiki nie ma najmniejszego sensu w sytuacji gdy baza, z której wystartowaliśmy, była diametralnie inna. Jeżeli cokolwiek możemy sensownie porównywać, to przepaść wciąż dzielącą polskie PKB na mieszkańca z krajami „starej” Unii. I dopóki ta przepaść nie będzie w znaczny i trwały sposób maleć, dopóty

najlepsza „szansą na start dla młodych” wciąż pozostanie lotnisko w Modlinie, jak w dowcipny sposób internauci podsumowali wyborczy slogan byłego wkrótce prezydenta.

Wymiana pokoleniowa w polskiej polityce jest niezbędna również dlatego, że w ciągu najbliższych kilku dekad staniemy przed wyzwaniem, o którym jeszcze nam się nie śniło. Niedawno wróciłem z międzynarodowej konferencji w Monachium, poświęconej najnowszym trendom w organizacji przepływu dóbr i usług we współczesnym świecie. Idę o zakład, że gdyby wszystkim współczesnym polskim parlamentarzystom zadać pytanie o to, z czym kojarzą im się takie hasła jak „Internet of Things”, „Big Data” czy przemysłowe drukowanie 3D, uzaledwie garstki wywołałyby one jakiegokolwiek skojarzenia. Tymczasem, nowe technologie zmieniają świat na naszych oczach w sposób, który w najbliższych kilkunastu, kilkudziesięciu latach będzie miał nieprawdopodobne wręcz konsekwencje społeczne – a w konsekwencji również polityczne. Z opublikowanego w 2014 przez oxfordzkich naukowców studium wynika, że tylko w Stanach Zjednoczonych, 47% osób znajdujących się obecnie na rynku pracy musi liczyć się z jej utratą w wyniku zastąpienia przez automatykę, robotykę i komputery. Ponad 700 zawodów wykonywanych obecnie przez ludzi – w tym księgowy, telemarketer i agent ubezpieczeń – może niemal całkowicie zniknąć w ciągu najbliższych dwudziestu – trzydziestu lat. Jakie to ma znaczenie dla polskiej polityki? Gigantyczne. Jeżeli bowiem przy zbliżonym koszcie inwestycji w automatykę, wynagrodzenia w Polsce pozostaną wyraźnie niższe, wówczas – biorąc pod uwagę dłuższy okres zwrotu - zapotrzebowanie na ludzką pracę w Polsce może być znacznie wyższe niż w innych, o wiele bardziej „zautomatyzowanych” krajach. A to może oznaczać scenariusz, w którym zamiast fali emigracji Polaków do Anglii, będziemy mieli falę emigracji Anglików do Polski. Scenariusz

nieprawdopodobny obecnie? – z pewnością. Scenariusz prawdopodobny za trzydzieści lat? – być może. Czy – jeżeli się wydarzy – będzie miał ogromne znaczenie społeczne i polityczne? – z pewnością. Czy którykolwiek z polskich polityków kiedykolwiek choćby zająknął się na ten temat? – nie sędzę.

Polska ma wszystko, czego potrzebuje, aby stać się „Chinami Europy” – doskonale z logistycznego punktu widzenia położenie pomiędzy Wschodem a Zachodem, dostęp do morza z coraz szybciej rozwijającymi się polskimi portami, własne zasoby naturalne, wysoko wykształcone i wciąż relatywnie atrakcyjne finansowo profesjonalne kadry. W internetowych symulacjach podobnych do wirtualnej gry „Cywilizacja”, Polska nieustająco staje się potęgą. Jeżeli nie potrafi w realu, to tylko z winy tych, którzy nią rządzą.

Podczas wspomnianej konferencji w Monachium, okazja do rozmowy z kolegą z Dubaju. Opowiada o szejku Dubaju, który co jakiś czas lubi odwiedzać swoich poddanych w codziennych, niewyreżyserowanych sytuacjach i sprawdza, jak im się żyje. Pewnego dnia trafił do jednego z urzędów, w którym petentów od obsługujących oddzielała szklana szyba. Szejk Dubaju, najwyższy władca, sięgnął po krzesło i z impetem rozbił szybę. „Dlaczego to zrobiłeś, o Panie?”, spytali przerażeni urzędnicy. „Nie jesteście urzędnikami” – odpowiedział szejk. „Jesteście customer service, obsługą klienta. Nie jesteście w żaden sposób lepsi od tych, którym służycie. Nie możecie się od nich odgradzać”.

Polska szklana szyba wciąż lśni.

Wybory wygra ten, kto pierwszy rzuci w nią krzesłem.

Przesyław Pięta



Przeczytaj tekst Marka A. Cichockiego: Kategoria